Nr. 18 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 września 1931** | **Rok 53**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk . . . . zł 6·—
Kobylański J. Wł.: Humor i łacina myśliwska „ 1·50
— O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie 1·50
— Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie . . . „ 3·—
— O zwierzyńcu w Katowicach . . . . „ 3·—
Lisowice III. tom . . . . „ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku . . . . . „ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek. . . . . „ 3·—
Orski St. W.: A było to wczas rano . . . „ 6·—
Ostrowski Stefan: Z piersi myśliwego . . . „ 2·25
Roczniki „Łowca" z lat poprzednich . . . zł 15·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r. . . . . „ 20·—
Sztolcman Jan: Żubr . . . . „ 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910 . . . . . „ —·30
Ustawa Łowiecka. . . . . „ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: Wspomnienia z życia łowieckiego . . . . „ 3·50
— „Słonka" . . . . „ 2·50
Ziembicki Witołd: Bibljografja prac Kazimierza hr. Wodzickiego . . . . „ 1·50

z doliczeniem opakowania i porta

TREŚĆ NUMERU 18:

Nr. 18 We Lwowie, 16 września 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

XXX ZJAZD ŁOWIECKI

odbył się

W DNIU 12 WRZEŚNIA 1931 R. WE LWOWIE

w sali Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przy ul. Kopernika l. 4. Sprawozdanie ze Zjazdu podamy w najbliższym Nrze „Łowca".

Upraszamy Członków, korespondentów i sympatyków naszych o ściślejszą współpracę z Redakcją przez nadsyłanie jej artykułów treści łowieckiej, przyrodniczej i beletrystycznej z przeznaczeniem dla „Łowca".

Ks. LUDWIK NIEDBAŁ

Celownik jako część składowa sztucera myśliwskiego

Na pytanie, w jaki sposób da się zastosować przysłowie o drobnych przyczynach w doniosłe brzemiennych skutki do sztucera myśliwskiego, można dać cały szereg trafnych odpowiedzi. Dobra, gwintowana broń myśliwska, jest bowiem sprzętem, który w drobnych nawet szczegółach odznaczać się powinien wielką precyzyjnością wykonania, jeśli działać ma precyzyjnie. Drobną na pozór rzeczą jest naprzykład, czy sztucer waży dwa kilogramy, czy też trzy. A jednak bardzo o to chodzi, żeby nie był zbyt lekki, dla niebezpieczeństwa rozsadzenia lufy przez nacisk gazów prochowych, ani też zbyt ciężki, bo wtenczas przestaje być poręcznym. Drobną na pozór jest rzeczą, czy lufa jest długa, czy też krótka. A jednak doniosłe może mieć skutki, jeśli lufa jest zbyt krótka, bo wtenczas część gazów prochowych pozostaje nie wyzyskana, lub jeśli lufa jest zbyt długa, bo wtenczas działa ona hamująco na pocisk i zmniejsza jego chyżość.

Aby pociskowi nadać rotację dokoła własnej jego osi, dla uchronienia go od przechylania się w drodze do celu, wyżłobione są w duszy lufy gwinty. Lecz ważną bardzo rzeczą jest, czy gwinty wykazują małą, czy też większą ilość obrotów, oraz czy one głęboko wrzynają się w ścianę lufy, czy też miałko tylko. Pociski czysto ołowiane wymagają mniejszej ilości, lecz zato głębszych gwintów, pociski natomiast twarde z płaszczem stalowym wymagają większej ilości, lecz zato mniejszych gwintów.

Drobną na pozór rzeczą jest jakość i ilość prochu w naboju sztucerowym, lub ciężar i forma pocisku, a przecież wszystkie te, zdawaćby się mogło, niepozorne szczegóły ogromny wywierają wpływ na celowość

strzału, która jest ostatecznie kwintesencją całej balistyki.

Nawet zbyt twarde lub miękkie nastawienie spustu może mieć doniosłe znaczenie i być przyczyną pudeł.

Bardzo ważną rzeczą u sztucera myśliwskiego jest także budowa komory do naboju, i wogóle całego zamku, dalej konstrukcja osady oraz poprawne wybalansowanie broni.

w pobliżu zamka osobnego przyrządu, który nazwano celownikiem, i przez umieszczenie muszki przy końcu lufy. Linja od oka przez bliznę w celowniku i muszkę do celu wyrównywa spowodowaną przez krzywiznę toru pociskowego różnicę między punktem, stanowiącym cel, a punktem, do którego mierzyć trzeba, chcąc bez celownika trafić w cel.

Graficznie rzecz przedstawia się następująco:



Decydujący wprost wpływ na celność strzału sztucerowego wywiera wizjer czyli celownik, także na pozór nikła i drobna część składowa gwintówki, która jednak w rzeczywistości jest alfą i omegą celnego strzału; gwintówka bowiem, choćby była w wszystkich częściach wzorowo wykonana, jest w praktyce łowieckiej bezużyteczna, jeśli nie będzie miała celownika, lub będzie miała celownik wadliwie osadzony. Konieczność zaopatrzenia każdego sztucera w celownik jest następstwem różnych procesów, wchodzących w życie w chwili dania strzału.

Warto uprzytomnić sobie, co się dzieje w momencie, kiedy igła, spuszczona zapomocą cyngla, uderzy o spłonkę ostrego naboju w komorze sztucera. Gazy, wytworzone przez spalenie prochu, z wielką siłą wyrzucają z lufy pocisk, który, dopóki znajduje się jeszcze w lufie, zmuszony jest do drogi, jaką mu wskazują jej ściany; leci on więc dokładnie w osi lufy, czyli linji prowadzącej wzdłuż jej środka. Kierunek ten zachowałby pocisk także po opuszczeniu lufy, i leciałby w tej wydłużonej linji osiowej w nieskończoność, gdyby na niego bezpośrednio po opuszczeniu lufy nie zaczęły działać dwa czynniki: siła atrakcyjna ziemi i opór powietrza. Pierwsza sprawia, że pocisk opada ku ziemi, a opada tem szybciej, im dłużej leci. Druga zaś sprawia, że pocisk przez całą swoją drogę walczyć musi z przeszkodą, jaką jest powietrze, tracąc przez to na sile, tem gwałtowniej, im dłużej leci. W rezultacie więc droga, czyli tor pocisku, nie jest prosty lecz zakrzywiony, i krzywizna ta tem większa jest, im więcej się pocisk od wylotu sztucera oddala; nie znajdując objektu, w któryby uderzył, tak dalece traci na sile, że opada w końcu bezwładnie na ziemię. Jasną przeto jest rzeczą, że chcąc pociskiem trafić jakiś cel, nie można mierzyć linją, którąby równoległa była z linją osiową lufy, lecz trzebaby podnieść lufę ponad cel i tem samem zakryć go oku mierzącego, a podnieść tem wyżej, im dalej odległy jest cel; innemi słowami: trzebaby mierzyć w jakiś niewidzialny punkt w powietrzu, aby pocisk opadający właśnie ugodził tam, gdzie ugodzić ma. O dokładnem mierzeniu w takich warunkach mowy być nie może i celny strzał byłby wykluczony, lub, co najwyżej, przypadkowy.

Zaradzono tej fatalności przez umieszczenie na lufie

A B X oznacza przedłużoną linję osiową lufy sztucerowej;

D B C oznacza linję od oka przez bliznę w celowniku i muszkę do celu;

A B W C oznacza tor pocisku, przyczem W jest najwyższem wzniesieniem pocisku nad linją wizjerową.

Tor pocisku przecina więc w punkcie B linję wizjerową, odchyla się następnie od linji osiowej lufy, osiąga w punkcie W najwyższe swoje wzniesienie nad linją wizjerową, aby ją w punkcie C drugi raz przeciąć i zarazem ugodzić w cel.

Od gatunku i ilości prochu, oraz od formy i ciężaru pocisku zależy, czy tor jest prostszy, więcej zbliżony do linji wizjerowej, czy też więcej się od niej ku górze odchyla, czyli czy pocisk posiada większą czy też mniejszą razancję. Im większa razancja jego, tem dokładniejszy jest strzał. Lecz na całym świecie niema sztucera, któryby — strzał po strzale — z tą samą bił dokładnością, nawet gdyby po najdokładniejszem mierzeniu zawsze w ten sam punkt celu śrubami uniemożliwiono mu choćby najdrobniejszą zmianę położenia w stosunku do linji wizjerowej. Zawsze będą miały miejsce pewne odchylenia pocisku od celu, czy to na prawo, czy na lewo, lub ku górze albo ku dołowi. Żaden więc tor pocisku nie jest dokładnie równy drugiemu; każdy sztucer we większym lub mniejszym stopniu rozrzuca, a płaszczyzna tego rozrzucania rośnie gwałtownie, im dalej oddalony jest cel. Przyczyny zaś tego zjawiska szukać należy w tem, że żaden nabój drugiemu nie jest równy, choćby one z największą były fabrykowane dokładnością, oraz w innych warunkach, mających wpływ na tor pocisku, a zmieniających się od strzału do strzału.

Najmniejsze dotychczas skonstatowane rozrzucanie wykazują sztucery o kalibrze 6 mm z bardzo silną dawką prochu łuskowego. Razancja pocisku jest też u nich największa, najwyższe bowiem wzniesienie toru pociskowego wynosi tylko 2 cm. Sztucerami temi można na dystans 100 m wpakować 10 pocisków w kółeczko, nie przekraczające średnicą 6 cm. Dla praktyki łowieckiej, gdzie dystans strzału prawie nigdy nie przekracza 100 m, jest rzeczą obojętną, czy najwyższe wzniesienie toru pociskowego wykazuje 2, 3, 4, lub nawet 5 cm. Główną

rzeczą będzie zawsze precyzja strzału, która u dobrego sztucera w tem się objawiać powinna, że rozrzucanie nie przekracza płaszczyzny o 10 cm średnicy.

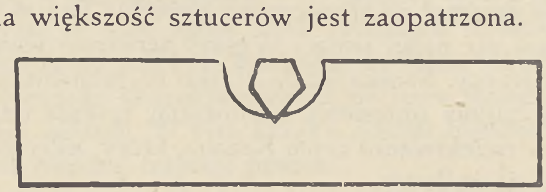
Pozatem, kupując sztucer, wymagać trzeba, żeby chyżość i żywotna siła pocisku były tem większe, im pocisk jest mniejszy, lżejszy, i im mniej on się deformuje.

Poniżej podaję w tabeli dla informacji balistyczne wartości, stwierdzone u gwintówek różnego kalibru:

muszka przy końcu lufy nie powinna wypełniać całej blizny, gdy strzelec okiem te dwa punkty do jednej sprowadza linji wizjerowej, lecz powinna wykazać pewną przestrzeń wolną z obu stron, aby zapobiec migotaniu światła i rodzącym się stąd błędom w celowaniu. Blizna o formie półkolistej praktyczniejsza jest od blizny trójkątnej, ponieważ muszka lepiej i wyraźniej się w niej uwydatnia.

	Kaliber i rodzaj pocisku	System broni	Ciężar pocisku w gramach	Ilość prochu w gramach	Chyżość pocisku (V 25)	Energja czyli żywotna siła pocisku	Najwyższe wzniesienie toru pociskowego na dystans 100 m	Pocisk, który na 100 m bije centrownie, opada na dystans 200 m
1.	6 mm całkowity płaszcz stalowy	Winchester	7,5	2,15 proch łuskowy	765 ms	224 mkg	1,77 cm	18—20 cm
2.	6,5 mm częściowy płaszcz stalowy	Mauser	10,1	2,4 proch łuskowy	700 ms	252 mkg	2 cm	23 cm
3.	6,5 mm częściowy płaszcz stalowy	Mannlicher Schönauer	10,5	2,45 proch łuskowy	740 ms	293 mkg	3 cm	około 24 cm
4.	7 mm częściowy płaszcz stalowy	Mauser	11,2	2,5 proch łuskowy	658 ms	247 mkg	2,3 cm	25 cm
5.	8 mm częściowy płaszcz stalowy	Mauser	14,7	2,65 proch łuskowy	584 ms	256 mkg	3 cm	30 cm
6.	9 mm częściowy płaszcz stalowy	Mauser	18,5	3 proch łuskowy	610 ms	351 mkg	5 cm	49 cm
7.	9,3 mm częściowy płaszcz stalowy	Mauser	21	2,9 proch łuskowy	618 ms	409 mkg	3,2 cm	46 cm
8.	11,15 mm czysty ołów	sztucer podwójny	20,6	4 proch czarny	411 ms	177 mkg	8,6 cm	80 cm
9.	12,6 mm czysty ołów	trójlufka	27	6 proch czarny	408 ms	229 mkg	8,1 cm	80 cm

Wracając do właściwego tematu, stwierdzam, że nie może być mowy w ramach krótkiej rozprawy o wyliczeniu i opisaniu różnych rodzajów celowników. Praca taka byłaby zresztą zbyteczna, ponieważ wszystkie pomysły w tym kierunku powzięte nie zdołały wyrugować celownika o s k r z y d ł a c h p r o s t y c h, w jaki znaczna większość sztucerów jest zaopatrzona.



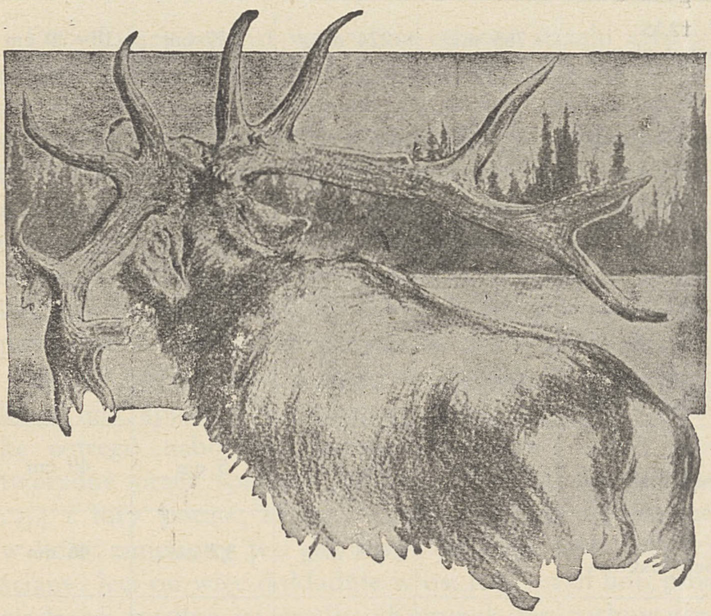
Celownik ten, w praktyce wypróbowany, spełni dobrze swój cel, jeśli będzie mocny i gruby, o kantach ostrych, a nie zaokrąglonych, o powierzchni matowej bez świecących płaszczyzn, ażeby ewentualny refleks światła nie był bardzo niemiłą dla oka przeszkodą. Blizna na środku górnego kantu celownika powinna być stosowna do wzroku strzelca; lepiej jednak, że jest za szeroka, aniżeli żeby była za wąska. W żadnym razie

Muszka nie powinna być ani za mała, ani za duża. Niepraktyczne są muszki o formie okrągłej, groszkowatej, bo promienie światła, padające na taką właśnie muszkę, nadają jej inny kształt, powodując często zboczenie pocisku. Muszka bowiem oświetlona jaskrawo z góry, przedstawia się oku o wiele większą aniżeli jest w rzeczywistości. Skutkiem tego strzelcowi często się zdaje, że widzi muszkę w bliźnie celownika prawidłowo, t. j. w ten sposób, że górna granica muszki tworzy z skrzydłami wizjera prostą linję, podczas gdy w istocie widzi on tylko drobną jej część. Strzał w takich warunkach dany, musi zdołować. I przeciwnie — w powietrzu dżdżystem, posępnem lub w zmierzchu strzelec widzi muszkę słabo tylko, i zbyt podnosząc koniec lufy, sądzi, że widzi ją teraz prawidłowo, podczas gdy w istocie cała muszka wystaje nad blizną celownika. Strzał w takich warunkach dany musi zgórować. Muszka wreszcie, silnie oświetlona z lewej lub prawej strony, sprawia, że strzelcowi wydaje się strona oświetlona większą niż strona nieoświetlona, skutkiem tego sądzi on, że wi-

dzi muszkę prawidłowo w bliźnie, podczas gdy w rzeczywistości widzi tylko oświetloną lewą lub prawą jej stronę, strzał zaś w takich warunkach dany zboczy na lewo, gdy prawą oświetloną stronę uważa się za całą muszkę lub na prawo, gdy oświetlona jest lewa jej strona. Na wszystkie te drobne na pozór szczegóły baczną więc trzeba zwracać uwagę, jeśli celownik ma należycie spełnić swoje zadania.

W omówionych wypadkach forma muszki ułatwić może znacznie celny strzał jeśli główka jej będzie kanciata (jak wskazuje rycina), a nie okrągła ani śpiczasta.

(dok. nast.)



ALBERT MNISZEK

Z ukraińskich wód i stepów

(Zapiski myśliwskie i ornitologiczne)

(dokończenie)

Kaczek dzikich na Ukrainie bywała moc niesłychana. Głównemi ich przedstawicielkami były: krzyżówka, cyranka i cyraneczka. Spotykało się też często podgorzałkę i krakwę. Ta ostatnia przebywała nietylko na stawach, ale i w sadzawkach parkowych. W miesiącach czerwcu i lipcu podloty tego gatunku wyskakiwały na gałęzie wierzb nadbrzeżnych, leżące poziomo nad wodą i rzędem się na nich usadawiały, śpiąc i wygrzewając się w słońcu. Siedziały tam tak twardo, że pozwalały z odległości dwóch kroków obserwować się człowiekowi, a gdy spostrzegały niebezpieczeństwo, wskakiwały naraz wszystkie do wody. Ubijałem też często świstuny i płaskonosy, nigdy natomiast nie spotkałem rożeńca.

Na przelotach wiosennych i jesiennych zjawiali się rozmaici goście. W większej ilości przylatywały gągoły (Clangula glaucion). Prześliczne te kaczki, szczególnie biało czarne o zielonych główkach z białemi plamami około nasady dzióba, samczyki, przeciągały nad wodami z właściwym im warczącym dźwiękiem, wywoływanym ruchem skrzydeł.

Rzadszym od nich gościem bywała ogorzałka (Fuligula marila) również czarno-biała, lecz naogół ciemniejsza od tamtej kaczka, a także podobna do niej, ale już prawie czarna, o białem podbrzuszu z obwisłym

JAMES OLIVER CURWOOD.

BITWA

Jest to rozdział z książki, noszącej w oryginale tytuł: „Baree son of Kazan", a przełożonej na język polski przez Jerzego Marlicza, p. t.: „Bari, syn szarej wilczycy". Rozdział niniejszy opisuje przygody Bariego w dniu, w którym z pod opieki matczynej, z jamy wilczej, wydobył się na szeroki świat.

W. Z.

A był to cudowny świat, pełen wielkiej ciszy, zamieszkały jedynie przez istoty leśne. Najbliższa faktorja leżała o dobre sto mil, najbliższe zaś miasto o pełnych trzysta mil na południe.

Przed dwoma laty Tusoo, traper z plemienia Cree, nazwał te strony swoją ziemią. Otrzymał ją, zgodnie z prawem puszczy, w spadku po całej linji przodków. Lecz Tusoo, ostatni w swym wymierającym rodzie, zginął od ospy, a żona i dzieci zginęły z nim wespół. Odtąd żadna stopa ludzka nie deptała przetartych przezeń ścieżek. Rysie się rozmnożyły. Karibu i łosie rosły bezpiecznie od kul. Bobry bez przeszkód budowały swe żeremia. Tropy czarnego niedźwiedzia krzyżowały się równie gęsto jak dalej na południu tropy jeleni i łań. Gdzie ongi żelaza i trutki Indjanina trzebiły stada wilcze, teraz płowe mohekuns mogły hulać bezkarnie.

Gdy zgasło słońce tego cudnego dnia, zjawił się księżyc i gwiazdy pierwszej prawdziwej nocy Barego. Była to śliczna noc. Czerwony księżyc w pełni żeglował ponad knieją, zlewając ziemię innym rodzajem światła, zdaniem Barego miększem i piękniejszem. Wilk odzywał się w nim gwałtownie, powodując ostry niepokój. Dniem drzemał na słonecznym wypieku, lecz w lśnieniu miesiąca nie mógł usnąć. Węszył nerwowo wokół Szarej Wilczycy. Samka leżała płasko na brzuchu, z piękną głową czujnie uniesioną, nasłuchując tęsknie dźwięków nocy w oczekiwaniu zewu Kazana, który, niby cień, wymknął się na łowy.

Podczas gdy Bari wałęsał się wokół wykrotu, z pół tuzina razy słyszał nad głową miękki trzepot i raz czy dwa dostrzegł siwe cienie szybko mknące powietrzem. Były to wielkie sowy północne, zniżające lot, by mu się przyjrzeć, i gdyby zamiast wilczka był królikiem, jego pierwsza noc na swobodzie stałaby się zarazem ostatnią. Gdyż w przeciwieństwie do królika — Wapoos, Bari nie grzeszył nadmierną ostrożnością. Szara Wilczyca nie

czubkiem na głowie czernica (Fuligula fuligula). Zjawiały się też, ale już bardzo rzadko, kaczki czarne (Oedemia nigra) całkiem czarne, raz widziałem samotną Uhlę (Oedemia fusca), a przy mnie ubił mój towarzysz łowów samca tej wielkiej czarnej, o białej plamie pod okiem i białem lusterku, kaczki. Z żadnym gatunkiem traczów (merganser) nie spotkałem się nigdy.

Między czaplami króluje na stawach ukraińskich czapla siwa (Ardea cinerea), liczne jej kolonje gnieżdżą się na starych dębach w laskach nadbrzeżnych.

Często spotyka się też czaplę purpurową (Ardea purpurea), gniazd jej nie widziałem jednak nigdy. Mnóstwo widywałem bąków i bączków. Po nocach słyszało się ponure wołanie ślepowronów. Największą jednak ozdobą ukraińskiego stawu jest czapla modronosa (Ardeola ralloides). Śliczna ta czapelka o barwie rudo-kasztanowatej, z bogatym zwisającym czarno-białym czubem na głowie, o strzępiastych barkówkach, sięgających do końca ogona, o białych skrzydełkach i dzióbie czarniawym z modrą nasadą jest dość pospolitym ptakiem na ukraińskim stawie. Lata w szczupłych stadkach nad wodą, lub obsiada wierzby nadbrzeżne. Mało w stosunku do człowieka ostrożna, bardzo blisko mu podjechać i podziwiać się daje. Ptak to więcej południowy, nie wiem, czy na Ukrainie się gnieździ.

Nie rzadko w miesiącach letnich zalatuje na ukraińskie wody czapla biała (Herodias alba). W r. 1909 bawiły dwie na stawie nowochwastowskim, z których jedną ubiłem.

W królestwie perkozów i nurów ukraińskich prym wiedzie wielki perkoz dwuczubny (Podiceps cristatus), kozą tam zwany, majestatycznie prujący tafle stawu, a późną jesienią zjawia się piękny i wcale na ukraińskim stawie nie rzadki nur lodowiec (Colymbus glacialis) o głowie i szyi czarnej, zielono i granatowo połyskującej, o płaszczu czarnym, gęsto biało nakrapianym. Drugim towarzyszącym mu gościem z dalekiej północy, o wiele jednak rzadszym, jest nur czarnoszyi (Colymbus articus) nieco od tamtego mniejszy, barwy popielato-rdzawej. Ptak ten przed zanurzaniem się wydaje zawsze głos donośny i wrzaskliwy, podnosi przód ciała w górę, tył zanurza w wodzie, jakgdyby chciał do nurkowania większego nabrać impetu. Łatwo na strzał śrutowy podjechać się daje.

Raz jeden tylko z nader rzadkim spotkałem się tam gościem, mianowicie z szablodzióbem (Avocetta recurvirostra). Wieczorem nadleciało na mnie stadko z 5-ciu sztuk, z których dwie ubiłem. Było to podczas wojny i nie można było odesłać ich do preparatora. Spory ten ptak, wielkości czajki, prawie biały z siemieniatym wierzchem, na wysokich nogach, odznacza się dzióbem długim i ostrym, w drugiej swej połowie silnie do góry zagiętym.

Najruchliwszym ptakiem na stawie ukraińskim, najwięcej wodnemu krajobrazowi życia i wdzięku dającym jest mewa śmieszka (Larus ridibundus). Przylatuje ona w ostatnich dniach marca, zawsze nocą, cały kontygent danego stawu odrazu. Zdradza swe przybycie wielkim gwarem, który już dniem i nocą nie milknie ani na chwilę, tak, że ptak ten chyba nigdy nie sypia. Gniazda zakłada na spławach zdala widoczne, gęsto jedno koło drugiego, tak, że taka kolonja bieli się i wpada w oczy z wielkiej odległości. A gdy się wyklują ma-

---

pilnowała go również zbyt zazdrośnie. Instynkt jej mówił, że w tych lasach, z wyjątkiem człowieka, nie istnieje dla Barego prawdziwe niebezpieczeństwo. W żyłach miał krew wilczą. Polował na wszystkie dzikie stworzenia, natomiast żadne z nich, skrzydlate czy czworonożne, nie uważało go za swe mięso.

Bari wyczuwał to na swój sposób. Nie bał się sów. Nie trwożyły go ich dziwaczne, mrożące krew w żyłach wrzaski, rzucane z czarnych wierzchołków sosen. Lecz raz lęk w nim przemówił, i co prędzej uciekł do matki. Stało się to, gdy jeden ze skrzydlatych myśliwych powietrza runął wdół na śnieżnego królika. Skrzek agonji nieszczęsnego skazańca sprawił, że serce Barego zakołatało jak młotek. W tym krzyku odczuł bliskość śmierci, zawsze obecnej tragedji puszcz.

Tejże nocy uczuł ją po raz wtóry, gdy ciasno przytulony do matki nasłuchiwał zewu wilczej zgrai mknącej po ciepłym tropie młodego samca karibu. A znaczenie tego wszystkiego i dziki dreszcz tych spraw pojął o szarym brzasku, skoro wrócił Kazan, niosąc w pysku olbrzymiego królika, wierzgającego jeszcze w kurczowych podrygach.

Był to szczytowy punkt pierwszej fazy edukacji Barego. Można było sądzić, że Szara wilczyca i Kazan ułożyli wszystko zgóry, by dać synowi praktyczną lekcję mordu. Ledwie Kazan rzucił zdobycz, Bari zbliżył się ostrożnie. Wapoos miał przetrącony grzbiet. Okrągłe oczy zaszły mu bielmem; nie czuł już bólu. Lecz dla Barego, gdy zanurzał kły w gęstą turzycę na piersi, królik był stanowczo pełen życia. Zęby nie doszły do mięsa. Ze szczenięcą pasją Bari rwał i szarpał. Pewien był, że zabija. Czuł przedśmiertne konwulsje ofiary. Słyszał ostatnie, nierówne oddechy, opuszczające ciepłe ciało, więc warczał i darł, aż ostatecznie odleciał wtył, z pyskiem pełnym sierści. Gdy wrócił do ataku, Wapoos skonał na dobre, lecz Bari obrabiał go nadal, z jednaką zaciekłością, nim Szara Wilczyca ostremi kłami nie rozdarła zdobyczy na części. Poczem nastała uczta.

W ten sposób Bari zrozumiał, że jeść znaczy zabijać, a w miarę jak mijały dalsze dnie i noce, rósł w nim szybko głód mięsa. Pod tym względem był prawdziwym wilkiem. Po Kazanie odziedziczył inne, wybitniejsze cechy. Był wspaniale czarny, co później miało mu zyskać miano Kusketa Mohekun — Czarny Wilk. Na piersi miał białą gwiazdę. Na prawem uchu białe znamię. Ogon w szóstym tygodniu puszył się i wisiał nisko.

łe, kolonja ta odcina się szeroką, białą smugą od zieloności szuwarów i błękitu wody.

Śmieszka jest jednak w wyborze miejsca lęgowego kapryśną i na kilku tylko ukraińskich stawach się gnieździ. Nie wiem, jakie czynniki wpływają na te kaprysy, ale faktem jest, że na stawie od wieków na miejsce lęgów przez nią wybranym leży paręset gniazd w wielkiem skupieniu i ciasnocie, a na drugim stawie w pobliżu, takim samym na oko, nigdy jej nie ma. Ma lot chwiejny, nierówny, ale wielce zwinny, na wodzie siada, ale nie pływa, tylko fali unosić się daje. Chętnie jada pędraki i ziemne robactwo. To też gdy pługi orzą czarny ukraiński ugor, postępują, znacząc się białą płachtą, całe falangi śmieszek piechotą, tuż za oraczami, nic ich się nie bojąc, wraz z wronami i nieodstępnym buśkiem, tworząc fragment typowego ukraińskiego krajobrazu. W czas słotny obsiadały śmieszki chmarami wielkie gazony nowochwastowskiego dworu, nie bojąc się jego mieszkańców i robiły wrażenie wielkich, ruchomych białych dywanów kwiatowych, lub stad swojskich gołębi. Z końcem lipca, po wyrośnięciu młodych ptak ten znikał jednego dnia zupełnie z swych rodzinnych pieleszy, by lecieć hen ku Czarnemu Morzu, a na stawie robiło się pusto i smutno.

Na ukraińskich błotach, tak zwanych rudach, za moich lat młodych bywało wiele krzyków i bywały nieraz bardzo obfite przeloty dubeltów. Wypadało często po 20 i 30 sztuk tych ostatnich na jedną strzelbę dziennie. Z biegiem lat jednak malały przeloty tych bekasów, tak, że najlepsze rudy dla myśliwych stanęły odłogiem, a polowania błotne ograniczały się tylko do błót okalających wierzchowiny stawów, gdzie krzyków bywało wiele, ale chodzenie było bardzo ciężkie.

Kończy się wrzesień. Na złotym rydwanie w klucz zaprzężonym żórawi nadlatuje czaradziejka — jesień! Rzuca garściami złoto na laski i parki, szmaragdy na bezbrzeżne pola pszenic, dziwnie jakoś błękitnieją niebiosa i stawów zwierciadła! Krajobraz nabiera swoistego kolorytu i piękna... W duszy rodzi się wtedy jakaś tęsknota nieokreślona, jakiś smutek, tak jak step, bezbrzeżny! Hen od Dzikich Pól przylatuje wiatr stepowy i na ostrych, żółknących strunach szuwarów dźwięczy dumką przeszłości, dawnych czasów, śpiewa o sławnych atamanach, o stanicach polskich, o Rewerze, Kalinowskich, Wiśniowieckich i o Bat'ku z Lanckorony... Stare dęby, co stare pamiętają czasy, co tyle widziały krwi przelanej, pożóg i rzezi, miedzanem swem listowiem nieśmiało szeptają może wypowiedziane przed wiekami proroctwo Wernyhory.

Wzrok leci w bezbrzeżne dale, myśl mknie za nim, wyprzedza go hen w wieki, w przeszłość tej bujnej a tak nieszczęsnej ziemi i wygrywa na strunach duszy pełne smutku i tęsknoty rapsodje. Tak kiełkuje w duszy ukraińskiej ta nieokreślona, bezbrzeżna tęsknota, z której rodziła się przed wiekami ukraińska dumka, przenoszona na struny lutni i teorbanów...

Dzisiejszy step ukraiński nie jest już stepem, choć się jeszcze tak tam nazywa. Bezkresne połacie traw i burzanów dawno już przeorały pługi. Step dzisiejszy, to kilkusetmorgowe łany pszenicy, prosa, lub buraków cukrowych. Tak było przed Wielką Wojną. Jak dziś wyglądają sławne kolektywne gospodarstwa — nie wiem. Wśród tych szmaragdowych pól kraśniały tu i tam laski dębowe.

Gdy zboża pochyliły swe kłosy pod ostrzem żniwiarek i sierpów i utworzyły się wielkie ścierniska, występ-

---

Była to wilcza kita. Uszy wziął po matce: krótkie, spiczaste, zawsze ruchliwe. Barki zapowiadały się wspaniale, na wzór bark Kazana; naogół przypominał pociągowego psa, z wyjątkiem, że zawsze stał bokiem do miejsca czy przedmiotu, który obserwował. To znów była cecha wilcza, gdyż pies zwraca się stale frontem do objektu głównego zainteresowania.

Pewnej jasnej nocy, gdy szczeniak miał dwa miesiące, a na niebie usianem gwiazdami wisiał czerwony księżyc tak wielki, że zdawał się dotykać wierzchołków sosen, — Bari, siadłszy na zadzie, zawył. Była to pierwsza próba. Lecz ton głosu wykluczał wszelkie wątpliwości. To był zew wilczy. Ale w chwilę później Bari, przymknąwszy do Kazana niby zawstydzony własnym czynem, machał puszystą kitą w niezaprzeczenie pokorny sposób. Gdyby Tusoo, nieżyjący traper indyjski, mógł go wtenczas zobaczyć, osądziłby go podług tego ruchu. Rozchwiany ogon świadczył, iż w głębi serca i w głębi duszy, jeśli miał duszę — Bari był psem.

Tusoo jeszcze w inny sposób mógłby sobie ustalić pogląd na Barego. Dwumiesięczne szczenię wilcze nie pamięta już o zabawach. Jest nieodłączną częścią dziczy i poluje na stworzenia mniejsze i słabsze od siebie. Tymczasem Bari baraszkował nadal. W swych wycieczkach nie odbiegał nigdy dalej niż po strumień, czyli o sto jardów od wykrotu i matki. Pomagał rozszarpywać wiele martwych i konających królików, wierzył, jeśli się wogóle nad tem zastanawiał kiedykolwiek, że jest strasznie odważny i dziki. Lecz dopiero w dziewiątym tygodniu życia poczuł rycerskie ostrogi i stoczył swój pierwszy bój z młodą sową.

Fakt, że Uhumisiu — wielka sowa śnieżna uwiła gniazdo w złamanym pniu opodal wykrotu, zmienić miał całkowicie bieg życia Barego, tak właśnie, jak kalectwo zmieniło bieg życia Szarej Wilczycy, a kij w dłoni ludzkiej — życie Kazana. Strumień płynął tuż obok pnia strzaskanego niegdyś przez piorun. Pień ów stał w cichem, ciemnem ustroniu leśnem, otoczony murem wyniosłych czarnych jodeł, pogrążony w mroku nawet o pełnym dniu. Bari zbliżał się często do skraju tajemniczej gęstwy, zaglądając w głąb ciekawie i z rosnącą chętką.

W dniu wielkiej bitwy pokusa stała się nieznośna. To też zwolna wkroczył między drzewa, szeroko otwierając oczy i chwytając uszkami wszelki dźwięk. Serce biło przyśpieszonym rytmem. Mrok wkoło gę-

pował na widownię, dotąd w morzu pszenicy i prosa zatopiony, król stepów, d r o p (Otis tarda). Bywało go jednak nie wiele. Tu i ówdzie spotykało się stado — łakoma, lecz chyba przypadkiem osiągalna zdobycz dla myśliwego. Jest to bezspornie najostrożniejszy w stosunku do człowieka ptak europejski. Rozmaitych sposobów próbowałem, by choć jeden egzemplarz ubity móc zapisać w myśliwskim dzienniku — nadaremnie! Pasałem owce na stepie w przebraniu pastuszka, podjeżdżałem go prostym, drabiniastym wozem, zawsze bezowocnie. Na strzał kulowy i to daleki, zjechać się czasem daje, ale w chwili zatrzymania się wozu, już skrzydłom swe losy powierza. Nieprawdą jest, jakoby drop się trudno i ciężko podrywał, jak niektórzy twierdzą, i kilkanaście kroków biec potrzebował, by się wznieść w powietrze. Drop zrywa się odrazu z miejsca do góry, obserwowałem to wiele razy. Nie wierzę też w opowiadania o forsowaniu chartami dropi w jesieni, kiedy po deszczu mróz im skrzydła skorupą lodową okuje, tak że ich do lotu rozwinąć nie może. Słyszałem to wiele razy, lecz nigdy nie spotkałem takiego, któryby to na własne oczy widział. Takie polowania leżą, mojem zdaniem, w krainie baśni.

Zjawia się też w jesieni na ukraińskim stepie, ale rzadko, drop s t r e p e t, fałszywie tam pardwą zwany (Otis tetrax). Jest to drop w miniaturze, tak do niego podobny, jednak od tamtego o wiele mniej ostrożny. W Kijowszczyźnie się nie gnieździ, zalatuje do niej rzadko. Jego ojczyzna zaczyna się na Zadnieprzu i w Besarabji.

Jesień ukraińska skrzy się wszystkiemi barwami tęczy, złotem brzóz, miedzią dębów, szafirem niebios i wód, szmaragdem ozimin, purpurą dzikiego wina, pnącego się po murach domostw a lasek ukraiński otwiera swe podwoje najmilszemu z jesiennych gości — słonce. Wszędzie jej wtedy pełno. Bawiąc na wygnaniu (zresztą bardzo rozkosznem) podczas światowej wojny (1915—1917) w Nowochwastowie, nastrzelałem się jej bez pamięci. Rano, urządzałem polowanie pantoflowe w parku — kilka naboi do kieszeni, strzelba, gryfonka i po półgodzinnej przechadzce kilka ptaków długodziobych przynosiłem kucharzowi. Stała w stepie morozowieckim 5-cio morgowa stara dębina, dobrze haszczami podszyta. Z śp. Tadeuszem Mostowskim, fenomenalnym strzelcem, ubiliśmy w niej we dwójkę w przeciągu godziny dwadzieścia słonek. Coprawda nierówno los nas wtedy obdarzył, bo on ubił piętnaście. Niezapomnę nigdy strasznych chwil, jakie dnia tego po powrocie z polowania przeżyłem. Było to w r. 1915. Zwycięska ofenzywa mocarstw centralnych waliła jak huragan w głąb Rosji. Poddani tych państw, przebywający w Kijowszczyźnie musieli wyjeżdżać na wschód. Otrzymuję rozkaz wyjazdu do trzech dni z Nowochwastowa z prawem wyboru miasta za Dnieprem, jako miejsca zamieszkania. Jadę tego samego dnia do Kijowa i dzięki wielkiej uprzejmości byłego generał-gubernatora galicyjskiego hr. Bobrińskiego, którego poznałem we Lwowie, wracam na trzeci dzień rano z pozwoleniem pozostania w Nowochwastowie do dalszego rozporządzenia. Pogrom słonek trwa więc dalej aż do zimy. Ubiliśmy ich wtedy z śp. Mostowskim przeszło sto.

Wspomnieć jeszcze muszę o dwu ptakach pospolitych na Ukrainie, z myślistwem nie mających nic wspólnego, lecz dzięki wspaniałemu upierzeniu, zdobiących tamtejsze pola i sady.

Pierwszym z nich jest k r a s k a (Coracias garrula) i u nas w czasie żniw dość często spotykana, tylko, że

---

stniał. Zapomniał o wykrocie, o Szarej Wilczycy i o Kazanie. Tu czekał nań dreszcz przygód. Łowił obce głosy, tak delikatne, jakby je powodowały pokryte futrem łapy i puchem porosłe skrzydła. Pod nogami nie miał traw, ziół ani kwiatów, lecz cudny brunatny dywan z miękkich szpilek. Stąpało się po nich wygodnie i zupełnie cicho.

Oddalił się już o pełnych 300 jardów od wykrotu, gdy mijając gniazdo Uhumisiu, wkroczył w zwarte zarośla młodych jodeł. I tu na samej jego drodze siedział — potwór.

Papajuczisiu (młoda sowa) miał zaledwie trzecią część objętości Barego, lecz wyglądał doprawdy przerażająco. Szczeniak doznał wrażenia, że widzi przed sobą sam łeb i oczy. Dotychczas nie spotykał nic podobnego. Kazan nigdy nie przynosił takiego stworzenia — i dobre pół minuty Bari, bez ruchu, przyglądał mu się badawczo Papajuczisiu nawet piórem nie drgnął. Lecz gdy Bari ruszył naprzód, przezornie, krok za krokiem, oczy ptaka stały się większe, a pióra na głowie napęczniały niby wzburzone wiatrem. Mały Papajuczisiu pochodził z rodziny zabijaków dzikich i odważnych, to też nawet Kazan wolałby ominąć ten najeżony łeb.

Oddaleni o dwie stopy zaledwie, szczeniak i pisklę przyglądali się sobie wzajem. Gdyby Szara Wilczyca zobaczyła ich w tej chwili, mogłaby powiedzieć Baremu: — Bierz nogi za pas i zmykaj! — A Uhumisiu, stara sowa, powiedziałby do Papajuczisiu: — Ty mały głuptasku, rozwiń skrzydła i leć!

Lecz dorośli byli nieobecni, i bitwa się zaczęła.

Papajuczisiu skoczył pierwszy i z bolesnem szczeknięciem Bari wywrócił się niby szmata, podczas gdy dziób sowy, jak rozpalona śruba, ściskał mu sam koniuszek nosa. Ten wrzask bólu i zdumienia był pierwszym i ostatnim głosem wydanym przez Barego w czasie walki. Przemówił w nim wilk; ponad wszystko inne górowała wściekłość i chęć mordu. Papajuczisiu, nie puszczając wroga, syczał dziwacznie; Bari, tarzając się po ziemi, kłapiąc zębami, usiłując się wyswobodzić, warczał nienawistnie.

Dobrą minutę był bezwładny i bezbronny. Potem sowa uwikłała się w nisko zgmatwanych chaszczach i dziób jej ześlizgnął się z nosa szczeniaka, urywając drobny skrawek mięsa. Bari mógł wtenczas umknąć, lecz zamiast ratować się ucieczką, błyskawicznie skoczył znów na ptaka. Papajuczisiu bęcnął na grzbiet, a wilczek za-

tam jest jej mnóstwo. Błękitnemi bukietami przelatują te ptaki z kóp na kopy, lub obsiadają drzewa przydrożne.

Drugim jest żołna, czyli szurek pszczołojadek (merops apiaster). Jest to może najozdobniejszy ptak europejski — kolibr w znacznem zwiększeniu. Barwy bronzowo seledynowej o dwuch dłuższych sterówkach w zielonym ogonie, jest dość często widywanym gościem ukraińskich sadów, trzyma się w pobliżu pasiek i czyni w nich szkody, polując na pszczoły.

Ptactwo drapieżne reprezentują na Ukrainie głównie dwa jego gatunki. Najpospolitszym jest błotniak stawowy (Circus rufus) robiący wielkie spustoszenia w jajach kaczych i wspaniała kania królewska (Milvus regalis) gnieżdżąca się na starych dębach w ukraińskich lasach. Na przelotach jesiennych częstym jest tam gościem sokół wędrowny (Falco perigrinus) i sokół raróg (Falco saker). Ten ostatni na Ukrainie się gnieździ. Do rozpoznania od sokoła wędrownego, szczególnie młody egzemplarz, w locie, dość trudny. Główną cechą rozróżniającą te dwa gatunki są pręgi siwe w ogonie u wędrownego podłużne, u raroga okrągłe i palec zewnętrzny dłuższy od wewnętrznego u wędrownego, zaś u raroga równy wewnętrznemu. Jak wygląda z liczby ubijanych egzemplarzy, oba te gatunki wielkich naszych sokołów są tam dość pospolite, co zresztą potwierdza poczesne miejsce, jakie sokół zajmuje w ludowej poezji ukraińskiej. Ptak ten bystrością i zwinnością swoją służył za wzór kozakowi zaporoskiemu. Starał mu się w tych cnotach dorównywać i iść z nim w zawody. Rarogi łowieckie należały do kompletu umeblowania w izbach dworów polskich i starszyzny kozackiej. Nad stawami się pławi, dość jednak rzadki, lśniąc srebrem, do słońca, orzeł rybołów (Pandion haliaëtus) i uderza od czasu do czasu piersią o wodę w pościgu za rybą.

Jest też dość często na Ukrainie widywanym, najmniejszy z orłów, włochaty (Aquila pennata), do rozpoznania w powietrzu łatwy po równo zakończonym, jakby ściętym ogonie.

Pospolitymi, jak i u nas rabusiami, są tam oba jastrzębie, gołębiarz i krogulec, jak również pospolitemi wszystkie sokoliki, prócz postułeczki (Cerchneis naumanni) o białych pazurkach — tam, jak i zresztą i u nas dość rzadkiej.

Na zakończenie wspomnieć tu muszę o ostatniej wspaniałej zabawie myśliwskiej na Ukrainie, w której brałem udział. Było nią kilkudniowe polowanie w Wierzchowni u hr. Adamostwa Rzewuskich w styczniu r. 1917, ostatnie dobrych czasów na zawsze pożegnanie! Mile spędzane w wspaniałej, magnackiej rezydencji wierzchowieńskiej, w wytwornem towarzystwie, wieczory, gościnność gospodarstwa, wspaniałe łowy, bukiety niezliczonych bażantów zwykłych i „Kingów" z półtorametrowemi ogonami, przemykające stada danieli i dzików, roje zajęcy, zapisało się to wszystko trwałem w mej pamięci wspomnieniem. Był to nasz śpiew łabędzi!

W parę tygodni później runął, granitowy zdawało się, tron Romanowów, zaczęła się rewolucja, nastały czasy straszne, życie ludzkie stało się igraszką w rękach wypuszczonego z carskiej klatki człowieka-zwierzęcia. Straszny pług dziejów przeorał kwitnące ukraińskie życie...

Ludzkość stanęła na przełomie dwóch epok dziejo-

---

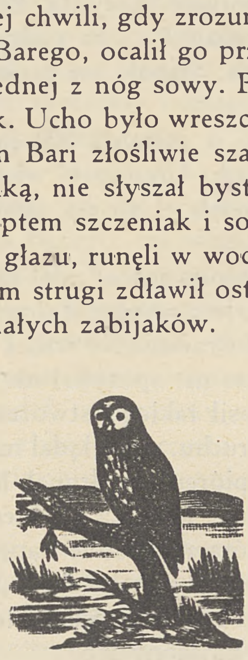
nurzył w jego piersi zęby jak igiełki. Zupełnie jakby usiłował ugryźć poduszkę, tak gęsto rosły pierze i puch. Zanurzał jednak kły coraz głębiej i właśnie gdy poczynał już łaskotać skórę sowy, Papajuczisiu, bijący dziobem nieco naoślep — a za każdem uderzeniem dziób zamykał się z metalicznym szczękiem — złapał szczeniaka za ucho.

Ból był okropny i Bari wytężył całą energję, byle wreszcie przebić puchowy pancerz. Splątani ze sobą przetoczyli się pomiędzy karłowatą sośniną ponad krawędź parowu, którego dnem płynął strumień. Potem zlecieli po stromym brzegu wdół. Podskakując i obijając się o nierówności gruntu, Bari rozluźnił chwyt. Natomiast Papajuczisiu trzymał mocno.

Nos Barego krwawił; miał wrażenie, że wyrywają mu ucho ze łba. Nadomiar złego w tej przykrej dla szczeniaka chwili, świeżo zbudzony instynkt doradził sowie użycie skrzydeł, jako jeszcze jednej broni. Otóż, sowa dopiero wtenczas walczy prawdziwie, gdy posługuje się skrzydłami. Z radosnym więc sykiem Papajuczisiu począł tłuc wroga tak gwałtownie i prędko, że Bari doznał zawrotu głowy. Był zmuszony zamknąć oczy i naoślep tylko miotał kłami. Po raz pierwszy od początku bitwy miał ochotę uciec. Usiłował się wyrwać, odpychając ptaka łapami, Papajuczisiu jednak, powolnie myślący, ale chwalebnej stałości przekonań, uczepił się ucha szczeniaka niby przeznaczenie.

W tej krytycznej chwili, gdy zrozumienie klęski przenikało już umysł Barego, ocalił go przypadek. Kły jego zamknęły się na jednej z nóg sowy. Papajuczisiu wydał rozpaczliwy skrzek. Ucho było wreszcie wolne i z triumfalnym pomrukiem Bari złośliwie szarpnął nogę ptaka.

Podniecony walką, nie słyszał bystrego szumu nurtu tuż pod sobą, i raptem szczeniak i sowa, ześlizgnąwszy się przez krawędź głazu, runęli w wodę, a chłodny prąd wezbranej deszczem strugi zdławił ostatni syk i ostatnie warknięcie dwu małych zabijaków.



wych i jak zawsze w takiej chwili, zanurzyła się w krwi. Europa skurczyła się po zachodnie granice Rosji. Państwo to, podeptawszy Krzyż Chrystusowy, odgraniczyło się od reszty świata nieprzebytym murem. Tysiące ludzi wyzutych z ojcowizny poszło się tułać po świecie. A tam za tym murem, w najżyźniejszych ziemiach, w spichlerzu Europy, szczerzą zęby głód i śmierć.

Ale wygnańcy przekażą swym pokoleniom wielkie Ojców tradycje kresowe i niezmierne ukochanie tej wspaniałej ziemi, na której Oni przez wieki krzewili kulturę polską, walczyli i ginęli za wiarę Chrystusową.

I przyjdzie dzień, w którym runie ten mur graniczny i bratnie narody przyjazne do siebie wyciągną dłonie a proroctwo Wernyhory słowem się stanie.

Na bujnych stepach ukrainnych nowe zakwitnie życie. Ci co po nas nastąpią, wrócą do ziemi kryjącej kości ich dziadów.

W duszach naszych bujnem kwieciem rozkwitła za nią tęsknota, a gdy myśl nasza stamtąd do nas powraca i o pięknie tej nam dziś tak dalekiej opowiada ziemi, pierś szerszym rytmem życia oddycha, tak jak tam dawniej bywało, wśród przestronnych horyzontów stepów i nieba błękitów.

Wrócimy do ziemi, zkąd nasz ród!



JAROSŁAW HUBÁLEK

Pustelnik z pod Sokolej Skały

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy nasz borsuk tu zawitał. Nie delektując się bynajmniej pięknością tego leśnego zakątka, obojętnie przydeptał kilka maleńkich wyrostków, zatrzymał się i zaczął uważnie wietrzyć. — Ciszę i spokój mącił tylko szum tyrowego potoku, toczącego się po trachytowych skałach. Podniecony nerwowo do najwyższego stopnia — borsuk, nie pomyślał nawet o pożywieniu. Bezcelowo, z przyzwyczajenia, skubnął troszkę korzonków i — jeszcze nie pewny sytuacji, puścił się dalej w drogę.

W miarę pięcia się w górę, przybywało kamieni. Tam, w dole, gdzieniegdzie tylko trafił się głaz, do połowy wrosły w ziemię, tu było ich pełno. Mniejsze z nich były szare z plamami różnobarwnych porostów, większe, prawdopodobnie starsze, obrosłe były całe gęstym mchowym kożuszkiem. Miejscami leżały w większych grupach, miejscami samotnie, zależnie od tego, czy urwane ze szczytu — tocząc się w dół, natrafiły na przeszkodę. Spojrzał nasz pielgrzym w górę. Przed nim, wśród kolumnady starodrzewu, bieli się gładka ściana skały. Wysoka na dobrych czterdzieści metrów, poszarpana u góry, ciągnie się w kierunku obranym przez niego. Podszedł aż do jej stóp. Gdzie teraz nawrócić? W prawo, czy w lewo? Po krótkim namyśle pokłusował w lewo.

Noc już zapadła, lecz borsuk nie zwracał na to uwagi. Jako zwierz nocny, wolał to nawet, więc biegł wytrwale wzdłuż skały o tyle się śpiesząc, o ile mu na to zmęczenie i obwisły brzuszek pozwalał.

W trachytowych skałach trafiają się częste rozpadliny pochodzenia wulkanicznego. Rozmiary ich bywają różne. Od niewidzialnego pęknięcia, do szpary, przez którą człowiek przejdzie wygodnie, jak przez bramę, od pojedyńczych i prostopadłych — do pochyłych i dziwnie nieraz ze sobą splątanych. Trafiają się tak dobrze u wierzchołka skały, jak u jej podnóża. Skała, o której mowa, miała ich cały labirynt. Jedna taka rozpadlina widna była zdala po zwisającej z jej wnętrza trawie, na wysokości trzydziestu metrów. Od szeregu lat gnieździła się tu para sokołów, wypuszczając corocznie w zupełnym spokoju po parę sokoląt na świat boży. Przed laty jakiś profesor pod przewodnictwem gajowego odkrył to gniazdo, starego ptaka nazwał sokołem wędrownym i objaśnił gajowego, że należy do ptaków bardzo już rzadkich i absolutnie nie jadalnych. Od tej chwili nazwa Sokolej skały utarła się najpierw między strażą leśną, obecnie zaś przeszła do map geograficznych i pozostanie, choć sokołów na skale nie będzie.

W innych rozpadlinach nie gnieździło się żadne ptactwo z obawy przed sokołami, parter tylko miał od dawna swego lokatora, a była nim stara, bardzo stara, bo siwa już prawie — borsuczyca. Jeśli wszystkie borsuki nie ubiegają się za towarzystwem, to staruszka ta poprostu go unikała. W absolutnej pustelni dożywała swych dni — nie troszcząc się o nic zgoła — prócz swego żołądka. Zamieszkiwała tedy rozpadlinę skalną, jednowylotową, ale za to długą dobrych dwadzieścia metrów. Chodnik szedł prawie prostopadle, na dziesięciu metrach krzyżował się pod prostym kątem z drugą rozpadliną równoległą do ściany zewnętrznej, potem znów z innemi, tworząc cały splot chodników w różnych kierunkach i rozmaitych poziomach. Nawet wody tu nie brakło. Strumyczek jakiś sączył się jednym chodnikiem i przepadał gdzieś w głębinie skalnej. Jednem słowem była to forteca, jedna z tych, jakie wziąć można tylko głodem.

Nasz pustelnik, szukając jakiegokolwiek schronienia, poczuł nagle woń pobratymczą — i stanął zakłopotany. Nie w smak mu była perspektywa spotkania. Nos zaprowadził go do nory. Wejść, czy nie wejść? Jest zmę-

czony długą podróżą — spoczynek więc należy mu się słusznie. Jest w obcem miejscu, kryjącem może nie wiedzieć jakie zasadzki i niebezpieczeństwa, a tu nora gotowa i to nora, jakiej nie ugryzie żadna łopata, żadna siekiera — jak wczoraj. A i otoczenie zdaje się dość pewne — nie wyczuł bowiem nigdzie śladu innego zwierzęcia, a zwłaszcza człowieka. Więc, choć to bardzo nieładnie przywłaszczać sobie cudze mieszkanie, nie widział innego wyjścia, jak spróbować. Zebrał całą odwagę i wsunął się w rozpadlinę. Brrr! jak tu zimno! Woda ze ścian kapie borsukowi na kożuch, ale idzie dalej. Wszędzie rozrzucone liście, widać pan domu już przygotował się na zimę. W miarę, jak zaostrzał się zapach borsuczy, intruz zwalniał kroku, niepewny, jak się skończy znajomość z pobratymcem może znacznie silniejszym a niegościnnym. W tej niepewności napadła biedaka taka tęsknota do dni dzieciństwa, do matczynej opieki, że mimowoli z gardła wydarło mu się żałosne mruknięcie.

Skała wiernie podała głos dalej od załomu do załomu, od szczeliny do szczeliny, aż wreszcie do ucha staruszki, już gotowej na przyjęcie nieproszonego gościa. Nie pierwsze to były odwiedziny. Kiedyś naruszyła jej spokój domowy arogantka liszka, dostała jednak nauczkę nielada. Że teraz w odwiedziny przybywa borsuk, poznała słuchem — i już gotowała się dać mu równie ostrą odprawę, gdy rozbroił ją ten tęskny, płaczliwy ton niemal dziecięcej skargi. I gdzieś, w najgłębszym zakątku jej duszy ozwała się struna współczucia, serce, dawno wyschłe poruszyło się tkliwie. Gniewna na siebie samą mruknęła gderliwie i pobiegła szybko na spotkanie przybysza.

Ujrzała go niebawem. Przytulony do ziemi leżał przed nią młodzieniaszek, a choć udaje bohatera i błyska niedorosłemi jeszcze ząbkami, widać na pierwszy rzut oka, że ze złemi zamiarami tu nie przyszedł. Obeszła go dokoła, obwąchała ze wszystkich stron i mrucząc ciągle, zawróciła z powrotem. W języku borsuczym znaczyło to przyzwolenie na sublokatorstwo — i nasz pustelnik tak to zrozumiał. Posłusznie poszedł za starą. W jakich dziesięciu metrach chodnik się rozszerzał, tworząc pewnego rodzaju głęboką niszę w skale. Tu stara stanowczem mruknięciem dała młodzieńcowi do zrozumienia, że dalej go nie puści i podążyła do swej komory. —

W taki to sposób nasz bohater ocalał i dostał gościnne locum. Miejsce było suche, dość przestronne, a nawet dobrze wymoszczone starym, zetlałym liściem. Zaraz jutro postanowił gość wymienić go na świeży, na razie, okrutnie zdrożony, ułożył się na spoczynek.

IV.

Ponura noc listopadowa, północny wiatr hula po szczytach. Korony olbrzymich buków ronią ostatnie zeschłe liście, które wicher niesie z zawrotną szybkością w dal nieznaną, aż hen, gdzieś pokryje niemi matkę ziemię. Warstwa liści rośnie, rośnie, póki nie otuli rodzicielki. Wsuńcie rękę pod napadłe liście, a przekonacie się, jak mały, niepozorny listek umie ogrzać! Zamarło życie lasu. Śpi wiewiórka w bukowej dziupli, umilkła sikorka, nie swarzy się wrzaskliwa sojka. Sine, śniegowe chmury przewalają się po ciemnem niebie — prócz wichru, łamiącego się w tysiącach gałęzi, wyjącego w każdej koronie innym tonem, nie słychać w lesie nic. Zda się, że niema już życia w leśnej głuszy, że wszystko w niej śpi tak, jak śpią rośliny.

A jednak tak nie jest. W sklepieniu Sokolej skały, tam, gdzie przed miesiącem ciepły, południowy wiatr naniósł całą gromadę suchego liścia, coś się porusza. Sucho szeleści gromada, poruszana gdzieś w spodzie przez jakiś twór żywy. To nasz znajomy borsuk nagarnia liście do zimowiska. Wiatr mu pomógł, po liście nie potrzebuje chodzić daleko, ale jak je dostać do nory? Nie tak to łatwo, jakby się zdawało! Liść lekki, sypki, a tu ani grabi, ani worka... Borsuk i na to znajdzie sposób. Nagarnie nogami pod siebie sporą kupkę i obwisłym brzuszkiem pcha ją wolniutko centimetr po centimetrze przed siebie aż do wylotu. Straty po drodze są i to znaczne, ale od czegoż borsucza cierpliwość i upór w pracy?

Starej sąsiadki nie widział już ani razu. Zima szła, sadła miała dość, sypialnię w porządku, nie ruszała się tedy krokiem z barłogu, drzemiąc ustawicznie. Sublokator zaś trzecią noc już pracuje i jeszcze mu się zdaje, że barłóg nie dość miękki, że liści jeszcze mało. Nareszcie skończył robotę, sprawdził starannie, czy gdzie w posłaniu nie tkwi przypadkiem jaki kamyczek, któryby go we śnie ugniatał, poczem psią manierą zwinięty w kłębek, nakrył nos kusym ogonkiem i poddał się prawu przyrody.

I podczas gdy na dworze polatywały pierwsze puchy śnieżne, a lodowe wichry polskie waliły się na milczący las, podczas, gdy ogromny rudel dziczy tuż pod skałą z rechtaniem wielkiem, szukał pod warstwą liści bukowego orzeszka, w skale, w głębokiej, bezpiecznej norze spały dwa twory, śniąc o tem samem: że znów przyjdzie cud-królewna, rozbije i zagna hen w doliny lody, stopi swym tchnieniem śniegi, rozpędzi północne wiatry, rozkuje z lodowych kajdan ziemię i lasy, pocałunkiem świeżych ust rozwinie pąki kwiatów i drzew, sprowadzi z południa wędrowne ptactwo, umai trawy, obudzi nowe życie.

(C. d. n.)



CZEMU MNIE DRĘCZYSZ TĘSKNOTO?

Czemu przychodzisz do mnie jesienią
i łzy wyciskasz tęsknoto
i swoje dłonie
wplatasz w me skronie?
Gdy się karpackie buki rumienią
i jawor sypie swe złoto,
czemu mnie dręczysz tęsknoto?

Czemu przychodzisz do mnie jesienią,
w duszę mą wsiąkasz tęsknoto,
wskrzeszasz wspomnienia,
budzisz marzenia,
co się nie ziszczą! Wiatry rozżenią
liść złoty — więc pytam o to:
Czemu mnie dręczysz tęsknoto?

Czemu przychodzisz do mnie jesienią,
harfę mą stroić tęsknoto,
bym płakał z tobą
nad samym sobą,
że się już losy moje nie zmienią —
łzawą przeszłości ramotą!
Czemu mnie dręczysz tęsknoto?

Lecz przychodź do mnie złotą jesienią,
rozkrwaw me serce tęsknoto!
Kiedy się w modły
rozszumią jodły,
górskie strumienie rozpienią,
na twoich skrzydłach pomknę z ochotą
w prabory Karpat, tęsknoto!

I tam mą duszę porzuć jesienią
zdala od ludzi, tęsknoto!
Gdzie się w błękity
wbijają szczyty,
jodły się wiecznie zielenią,
świt się utula mgłą złotą...
tam daj jej marzyć, tęsknoto!

Albert Mniszek

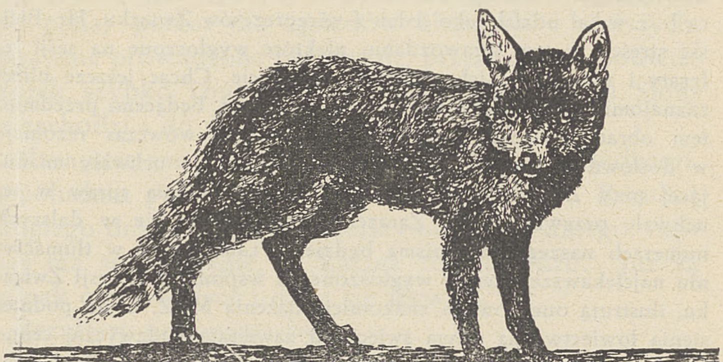
Notatki bibljograficzne

James Oliver Curwood. Bari, syn szarej wilczycy. Przekład autoryzowany Jerzego Marlicza. Nakład Księgarni Św. Wojciecha. B. d., in 8-vo, str. 250. Winieta okładkowa Ireny Szubertówny.

Czytelnicy „Łowca" znają już głośnego pisarza amerykańskiego i przekłady polskie jego dzieł, dokonywane przez Jerzego Marlicza (Helenę Borowikową). Korzystając z upoważnienia, przedrukowaliśmy dotąd ustępy z następujących książek: „Władca skalnej doliny", „Łowiec" 1928, str. 7., „Włóczęgi północy", „Łowiec" 1929, str. 295., „Szara wilczyca", „Łowiec" 1930, str. 27 i 54. (Zob. też „Notatki bibljograficzne" „Łowiec" 1929, str. 302).

W niniejszym numerze podajemy przedruk ustępu: „Bitwa" z książki p. t. „Bari, syn szarej wilczycy". Tak pod względem kompozycji, jak opracowania, a zwłaszcza niezrównanych opisów, tom ten należy niewątpliwie do najlepszych z całego cyklu. To samo należy powiedzieć i o tłumaczeniu. Talent Curwooda przyćmił wszystko, co w tym rodzaju pojawiło się w literaturze rozmaitych narodowości. Talentowi zaś tłumacza, a raczej tłumaczki, zawdzięczamy, że te arcydzieła przyswojone zostały piśmiennictwu polskiemu i to w formie naprawdę wzorowej. Ktoby się interesował bliżej twórczością Curwooda, znajdzie potrzebne szczegóły w charakterystyce, podanej w Ilustr. Kurjerze Codziennym, 1928, dodatek do Nru 225. (Kurjer Literacko-Naukowy z dnia 19 sierpnia 1928, str. VI).

W. Z.



Rezolucje

powzięte na II-giej sesji Międzynarodowego Związku Łowieckiego (Conseil International de la Chasse) w dniu 1-go czerwca 1931 r.*

Broń i amunicja myśliwska.

Aby za staraniem M. Z. Ł. wprowadzoną została karta tożsamości, umożliwiająca swobodne przekraczanie granic państwowych z bronią palną, używaną wyłącznie do polowania, przez jej właścicieli, a na wypadek gdyby taki proceder przez niektóre Państwa nie został dopuszczony, aby one wprowadziły u siebie przepisy o czasowem wpuszczaniu obcej broni myśliwskiej na swe terytorja państwowe, a to analogicznie jak się to praktykuje ze samochodami.

Aby na całym świecie używano jednolitego sposobu oznaczania dymensji pocisków myśliwskich, przyczem się zauważa, że sfery zainteresowane zwróciły uwagę na szczególną dogodność, jaką wydaje się mieć sposób pomiaru według ćwiartek milimetra.

Ochrona ptactwa przelotnego.

Aby polowanie na słonki, przepiórki, na zwierzynę morską, wodną i błotną, oraz zwierzynę nadbrzeżną wykonywano wyłącznie bronią palną, z wykluczeniem zastosowania pastek, klatek, sideł, sieci, lepu, pochodni przenośnych i wszelkich innych narzędzi wyniszczających ją w sposoby ślepe i masowe.

Aby to polowanie ustawało w chwili rozpoczęcia gnieżdżenia się tego ptactwa w okolicach, gdzie się to gnieżdżenie istotnie odbywa.

Aby daty otwarcia i zamknięcia polowania na te ptaki były w poszczególnych Państwach ustalone przy uwzględnieniu wskazówek Stałej Komisji, zamianowanej w tej sprawie przez M. Z. Ł.

Aby w dobrem zrozumieniu użyteczności jaką dla łowiectwa przedstawia Międzynarodowa Konwencja z roku 1902, w przedmiocie ochrony ptactwa, a w szczególności jej art. 8, odnoszący się do ptactwa łownego, przystąpiły do niej wszystkie Państwa, które jej dotąd nie podpisały, a przynajmniej, by one wprowadziły w swe własne ustawodawstwa, analogiczne przepisy odnośnie do ptactwa łownego przelotnego.

Aby na okrętach, które do popędu używają ciężkich olei, zaprowadzono urządzenia zużywające pozostałości tych olei, a uniemożliwiające wpuszczanie ich do morza i aby już obecnie zakazano wpuszczania tych pozostałości do wód przybrzeżnych i wreszcie, by na instalacje dla popędu ciężkimi olejami, na okrętach będących w stanie budowy, zezwalano tylko wtedy, gdy one zostaną zaopatrzone w urządzenia uniemożliwiające wpuszczania wspomnianych pozostałości do morza.

Aby przy polowaniach łodziami motorowemi używano tylko kajaków lub innych podobnych małych łódek sportowych i aby przy tych polowaniach używano tylko broni strzelanej od ramienia, z wykluczeniem armatek i strzelb montowanych na burcie.

Aby polowanie z latawców było zabronione

Zachowanie rzadkich gatunków.

Aby Państwa wydały przepisy regulujące polowanie na gatunki zwierząt, które stały się rzadkie i by czuwały ściśle nad zachowaniem tych przepisów, tak w swych krajach macierzystych jak i w kolonjach, a to w tym celu, aby zapobiec całkowitemu wyniszczeniu tych gatunków.

Parki ochronne i rezerwaty.

Aby we wszystkich Państwach stworzono parki lub tereny rezerwowane, w którychby wszelkie polowanie było zakazane, a to dla zachowania miejsc schronu i rozmnoży dla gatunków zwierzyny, stającej się rzadką.

Aby rezerwaty już założone, których ilość jest zresztą zawsze niedostateczną, a mianowicie takie, jak rezerwat zoologiczny w Camargue, założony przez Francuskie Towarzystwo Aklimatyzacji, nie były bez ważnych przyczyn od tego przeznaczenia usuwane, szczególnie jeżeli one dają przytułek, jako ostatnia rezerwa gatunkom, interesującym uczonych i artystów całego świata.

Uregulowanie polowania w krajach ościennych.

Aby dla wszystkich gatunków zwierzyny daty otwarcia i zamykania polowania były, o ile możności, ustalone według stref międzynarodowych, z uwzględnieniem okoliczności, klimatu, meteorologji, stosunków gospodarczych i wogóle tych wszystkich czynników, od których zależy rozmnoża zwierzyny, tak by istnienie granic państwowych i przepisów prawa między sobą niezgodnych nie wspierało kłusownictwa i zatajeń.

Legislatywa.

Aby za staraniem członków M. Z. Ł. zredagowano dla każdego kraju przez nich reprezentowanego referat o prawie łowieckiem, sporządzony zgodnie z planem, zaproponowanym przez P. Leschevin'a w jego raporcie wygłoszonym na II sesji M. Z. Ł.

Aby w interesie badań naukowych i prawniczo-ło-

---

* W numerze 17-tym „Łowca" zamieścił Prezes M. T. Ł. Juljusz hr. Bielski sprawozdanie z II. sesji Międzynarodowego Związku Łowieckiego, w którego posiedzeniach w dniach 30 maja i 1 czerwca b. r. wziął udział, jako jeden z wiceprezesów Związku. Hr. Bielski streścił w tem sprawozdaniu niektóre wygłoszone na sesji referaty i zapadłe na ich podstawie rezolucje. Chcąc jeszcze bliżej zaznajomić Czytelników naszych ze sprawami, będącemi przedmiotem obrad Związku, podajemy tu powzięte wówczas rezolucje w dosłownem tłumaczeniu, dodając tłumaczenie uchwały mianującej przy Związku stałą Komisję, dla załatwienia spraw w tej uchwale przewidzianych. Zarazem zapowiadamy, że w dalszych numerach naszego czasopisma będziemy zamieszczać w tłumaczeniu najciekawsze referaty wygłoszone na wspomnianej sesji Związku, ilustrują one bowiem znakomicie dążenia M. Z. Ł. do podniesienia łowiectwa na całym świecie, a zawierają nadzwyczaj cenne i ciekawe wiadomości o stosunkach łowieckich w rozmaitych krajach.

wieckich postarano się zgromadzić i uporządkować zbiory ustawodawstw wobec tego, że urzędy i instytucje stałe posiadają tylko niekompletne fragmenty.

Mianowanie stałej Komisji przy M. Z. Ł.

Międzynarodowy Związek Łowiecki wyznacza z pomiędzy swych członków Stałą Komisję dla przestudjowania zasad, któreby mogły być zalecone rozmaitym Państwom w przedmiocie zrealizowania rezolucyj, powziętych w sprawie polowania na słonki, przepiórki, na zwierzynę morską, błotną i wodną, tudzież nadbrzeżną, a szczególnie poinformowały je w jaki sposób należałoby ustalić terminy otwarcia i zamknięcia polowania na tę zwierzynę, przy uwzględnieniu okoliczności klimatycznych i meteorologicznych.

Komisja ta postara się w tym celu o wszelkie potrzebne jej wiadomości tych spraw dotyczące, wysłucha zdania wszystkich kompetentnych w tych sprawach czynników w charakterze doradczym i przez Sekretarjat M. Z. Ł. przeprowadzi w razie potrzeby korespondencję z Rządami poszczególnych Państw, mogąc domagać się w tym względzie pomocy od członków Komisji, należących do narodu zainteresowanego.

Komisja ta zorganizuje swoje prace i obrady i zda z tego sprawę na przyszłej sesji M. Z. Ł.

Członkami Komisji zostają zamianowani Panowie: Ducrocq, Prezydent Związku, Chigi (Włochy), hr. Hartig (Austrja), Kiss de Nemesker (Węgry), Leschevin (Belgja), Lilette (Francja), Müller-Tesch (Wielkie Księstwo Luxenburg), Saulescu (Rumunja), Savides (Grecja), Schoenichen (Niemcy), Zoritchitch (Jugosławia) i hr. d'Adix, generalny sekretarz M. Z. Ł.

Komisja będzie mogła kooptować dalszych członków ze składu Związku.

(tłum. A. Sander)

Ś. † P.

ADAM PORAY MADEYSKI

em. dyrektor lasów

zmarł dnia 2-go września 1931 r., przeżywszy lat 74.

Długoletni członek M. T. Ł. całą duszą myśliwy, człowiek zacny i przez wszystkich szanowany i kochany, wierny przyjaciel naszego Towarzystwa, pozostawia po Sobie w społeczeństwie szczery żal i trwałą serdeczną pamięć

Pokój Jego duszy!

KORESPONDENCJE

Polowanie na kaczki

W Pieskach powiatu Kosowskiego woj. Poleskiego odbyło się u hr. Franciszkostwa Pusłowskich dnia 27 i 28 lipca 1931 r. polowanie na kaczki w 12 strzelb. Polowania w Pieskach zawsze doskonale prowadzone, piękne są nietylko swym rezultatem i dużą ilością zwierzyny; myśliwego czułego na piękno natury uderza wielkość i pociąga malowniczość Czarnego Jeziora, na którem się na kaczki poluje — może więc opis ten zainteresuje Czytelników „Łowca".

Już przed świtem siadają do łódek myśliwi za parkiem w przystani na Czarnem Jeziorze. Jezioro to, o przestrzeni około 2.500 ha, w najszerszem miejscu liczące do 6 km szerokości, jest otoczone wiankiem trzcin i sitowi, uroczo wygląda spowite w poranne mgły i opary nad wodą się unoszące.

Szeregiem posuwają się naprzód łódki z lekkim pluskiem wioseł, mgła powoli znika, fale jeziora coraz bardziej jaśnieją od światła dziennego, z szaro-stalowego przechodzą w kolor opalu, wreszcie różowieją wraz z niebem na wschodzie. Myśliwi siedzą wygodnie na wysoko umieszczonych ławkach, mając ponad trzcinami rozległe pole do strzału. Prawie bez szelestu wjeżdża w sitowia 12 łódek, każda kierowana przez 2-ch lub 3-ch wioślarzy, kaczki zaczynają się zrywać, grzmią strzały, od czasu do czasu rozlega się na prawym skrzydle krótka komenda gospodarza, powtarzana na środku przez strzelca Aleksieja dla kierowania całą flotylą. Niełatwo bowiem utrzymać ją w karnym szyku bojowym, nieraz całą linję łódek zatrzymać wypada, by zdążyli z powrotem na swoje miejsca myśliwi zajęci zbieraniem kaczek, czasem wykonać trzeba ruch skrzydłowy dla zmiany kierunku. Polowanie kończy się między 7—8 godziną rano, wtedy kaczki znajdują się przeważnie na czystej wodzie na środku jeziora, całe stada ich zdaleka czernieją widoczne myśliwym, ale nie dopuszczają nawet na daleki strzał. Po południu polowanie odbywa się na stawach rybnych, na kaczki i bekasy z nagonką. Myśliwi stoją na groblach za zasłonami z łozy i wierzb. Strzały bywają trudne, bo kaczki i bekasy ciągną przeważnie wysoko; szerokie tu pole do popisu nietylko dla myśliwych, ale i dla strzelb. Psy aportery po każdem pędzeniu niestrudzenie pracują, wynosząc kaczki z wody dla swojej pani lub pana, potem dla sąsiadów bliższych i dalszych. Sprawnie prowadzone polowanie, przerwane na podwieczorek, szybko, zbyt nawet szybko dobiega końca. Słońce zachodzi i do powrotu skłania...

Nazajutrz znowu o świcie wyjazd na jezioro łódkami, popołudniu polowanie z naganką na stawach. Rezultat drugiego dnia o połowę mniejszy od poprzedniego, chociaż ma się wrażenie, że kaczek równie dużo. Już są jednak ostrożniejsze i dalej się zrywają.

Rezultaty polowania były:

dnia 27 lipca podniesiono na jeziorze 188 kaczek, na stawach 79 kaczek i bekasów,

dnia 28 lipca podniesiono na jeziorze 81 kaczek, na stawach 88 kaczek i bekasów,

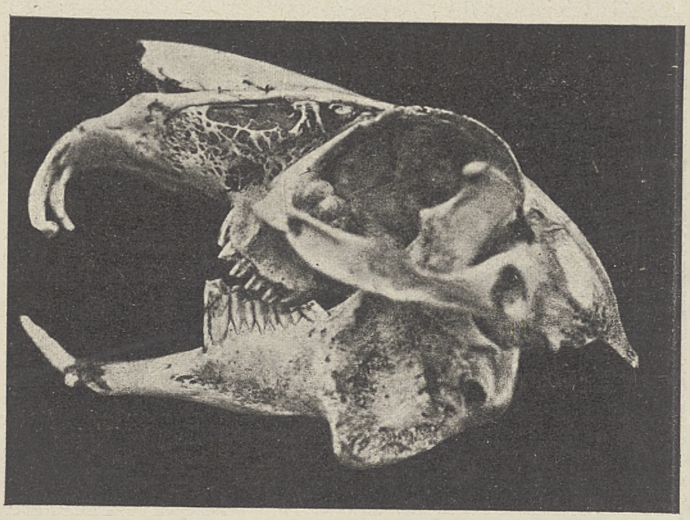
nazajutrz znaleziono 37 kaczek. Ogółem w 2 dni upolowano 431 kaczek, 40 krzyków i 2 bąki: razem 473 sztuki.

Najwięcej mieli na rozkładzie: 65 sztuk Roman hr. Bielski, 55 sztuk Xawery hr. Pusłowski, 53 sztuk Franciszkowa hr. Pusłowska, urocza Pani domu, która narówni z wszystkimi dzieliła trudy myśliwskie i z niezrównanym wdziękiem czyniła honory domu. Polowanie w Pieskach pozostawiło w pamięci uczestników najmilsze wrażenia i szczerą wdzięczność dla miłych gospodarzy.

Józef Stecki

Wulka mazowiecka, 18 września 1931 r.

Przy końcu grudnia 1930, na polowaniu w Tehlowie p. Rawa Ruska, w pierwszym polnym miocie, nagonka ruszyła zająca, który uszedłszy kilka kroków, ciągle przysiadał. Nie odszedłszy linji myśliwych, padł dobity



pałkami naganiaczy, nie mając sił dalej uciekać. Okazało się, że był to zając ogromnie chudy, który ginął powoli śmiercią głodową, albowiem dolny prawy siekacz był u nasady odstrzelony czy złamany, przez co biedak z powodu bolu nie mógł wygodnie żerować. Górne siekacze nieścinane, rozrosły się kabłąkowato do wielkich rozmiarów na długość. Górny prawy siekacz ma 31 mm długości, lewy 20 mm długości, dolny lewy siekacz 18 mm dług. (patrząc na czaszkę od przodu).

Roman Pawlik



Sprawy Towarzystwa

Z Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie

Przypominamy, że Województwo krakowskie, rozporządzeniem z dnia 19 grudnia 1930 L. Ad. I. 323/30, rozszerzyło na rok 1931 na terenie Województwa krakowskiego ustawowy czas ochronny na: zające-szaraki od 15 stycznia do 31 października i sarny-kozły od 1 stycznia do 15 czerwca i od 1 listopada do 31 grudnia (nb. na dzikie kaczki termin ochrony od 1 marca do 20 lipca już upłynął). Normalne czasy ochronne na inną zwierzynę łowną, a zatem i na kuropatwy, pozostały bez zmiany.

Nadto, w myśl dotyczących rozporządzeń Ministerstwa Rolnictwa, obowiązuje nieprzerwany czas ochronny dla wiewiórek po koniec roku 1932, zaś dla niedźwiedzi i rysiów od 15 stycznia do 15 grudnia każdego roku do włącznie roku 1934.

Kraków, dnia 5 września 1931.

Józef Stiller em. gen. dyw. — Prezes

Stanisław Morawetz — Sekretarz



OD REDAKCJI

Stosując się do życzenia kilku naszych Czytelników, umieszczamy tekst deklaracji w języku francuskim, złożonej na ostatniem posiedzeniu C. I. C. przez Prezesa hr. Bielskiego w tłumaczeniu polskiem.

„Przedstawiciele Stowarzyszeń Łowieckich w Polsce, zebrani na Zgromadzeniu w Warszawie dnia 10-go maja roku bieżącego, zaznajomiwszy się z nieodpowiedzialnym komunikatem ogłoszonym w „Zeitschrift für Forst und Jagdwesen" z Berlina w marcu roku bież., potępili w sposób najbardziej stanowczy tę brutalną i bezprzykładną napaść na Polskę i myśliwych polskich. Wobec artykułu pierwszego Statutu Rady Międzynarodowej Łowiectwa, który nakłada na wszystkich swych członków utrzymywanie stałych stosunków między myśliwymi wszystkich krajów, Polskie Stowarzyszenia Łowieckie, które mamy zaszczyt reprezentować tutaj, poruczyły nam podać do wiadomości Rady o tem przykrem zajściu, które odsłania metody walki oparte na kalumniach niedopuszczalnych w kołach myśliwskich całego świata.

Nie chcemy dzisiaj inaczej załatwić tej smutnej sprawy, mając niezłomną nadzieję, że rozważne czynniki niemieckie znajdą odpowiednie środki, żeby nam dać słuszną i całkowitą satysfakcję".

Sprawozdanie z Międzynarodowych Zawodów Strzeleckich (strzelań myśliwskich), podamy w najbliższym numerze, po otrzymaniu oficjalnych danych.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16